

Ludmiła Koziniec

Pazury anioła

„Fantastyka” – kwiecień, maj 1990

*...Północą przelatał anielski posłaniec.
I cichą pieśń śpiewał niebiosom bez granic...
Michał Lermontow. "Anioł".*

Oczywiście, że to plagiat. Ale nie sposób precyzyjniej przekazać słowami widoku, który można było spostrzec z południowego stoku Smoczej Grani o zachodzie pewnego niezapomnianego lipcowego dnia. W zmierzchającym niebie drżała błada jeszcze Gwiazda Polarna, przypominająca zamgloną plamkę światła mdłej lampy ulicznej na gładkiej powierzchni zatoki.

Aż nagle, od strony gwiazdy przez cieńmy lazur nieboskłonu powoli przepłynął w stronę równika biały anioł. Jego srebrzyste skrzydła połyskiwały różowym odbłaskiem słońca, które skryło się już za horyzontem. Ostatnie jego promienie płonęły ognistymi iskrami w złotych, kędzierzawych puklach anioła. I rzeczywiście śpiewał on cichą pieśń. W jaki sposób można wyjaśnić tak wielką zgodność z klasycznym tekstem? Może aniołowie mają zwyczaj pętać się po falach wolnego eteru z pieśnią na ustach i kryształową lutnią w delikatnych palcach?

No cóż, obojętne jak tam było, w każdym razie leciał, śpiewał i wzniesionymi ku górze oczyma wyniośle nie dostrzegał tego, co dzieje się na grzesznej ziemi.

Był to widok wyjątkowej piękności i nic dziwnego, że oddziaływał on na uczucia starego, mądrego smoka, który wygrzewał swoje zgrzybiałe kości w nagrzaną przez cały dzień skalną kotłince na górskim zboczu. No a jak my byśmy zareagowali na widok leżącego anioła? Popatrzylibyśmy na niego, wzruszyli ramionami i wrócilibyśmy do naszych codziennych zajęć. Leci sobie anioł, to niech sobie leci. Jego sprawa.

Ale jak już wspomniano wyżej, smok był stary i w związku z tym sentymentalny. Dlatego właśnie widok bezgrzesznego posłańca niebios wydobyl zeń spazmatyczne westchnienia, palące łzy i głęboki żal.

Oto, pomyślał smok, prawdziwie doskonały i szczęśliwy twór Pana. Ani strach, ani namiętność, nienawiść, głód, ni chciwość nie nękają jego pełnej błogostanu duszy, a umysł jego zwrócony jest ku wyżynom poznania i nienagannej harmonii. I nie ma w jego idealnie zrównoważonym jestestwie miejsca na bezsensowne uczucia, które miotają żalonymi mieszkańcami ziemi.

Z tą ponurą refleksją zwrócił smok tęskne spojrzenie na dolinę, gdzie po ukończeniu swych dziennych zajęć liczne smocze plemię szykowało się do spoczynku.

Zobaczył, jak pod mirtowym krzewem trzech smarkatych wyrostków z krwiożerczym rykiem wybija denko zgrabnego krągłego antała. Wkrótce dołączył do nich czwarty, który przywłókł skradzionego barana. Starzec z obrzydzeniem obserwował, jak młode smoki rwały kłami i pazurami nieszczęsne zwierzę smarując przy okazji uszczęśliwione pyski krwią, jak opróżniły antała, jak wywiązała się leniwa, ale wstrętna bójka, jak uganiały się za szacowną smoczyca. Ostatecznie zasnęły chrapiąc pod nurtowym krzakiem utraciwszy zupełnie przywoity wygląd.

Jakież to godne ubolewania, myślał stary smok. Dokąd zmierza nasz wspaniały ród? Jakże niskie i niegodne jest nasze życie! Należy bezzwłocznie zacząć działać, aby pradawny naród nasz mógł osiągnąć ogród na wysokościach, ogólną harmonię i szczęście.

Należy tu stwierdzić, że ów stary smok nie był takim sobie zwykłym, reliktowym gadem. W przeciwnym bowiem razie, skąd w jego olbrzymim, guzowatym łbie mogłyby się pojawić takie radykalne myśli? Był to władca smoczego ludu, król tej rozległej i bogatej krainy, a jego tytuł brzmiał: Jego Drakońska Wysokość Smokról Ósmy.

Rządził od niepamiętnych lat, przywykł do władzy jak do własnego ogona i dlatego nie miał najmniejszej wątpliwości, że wszelkie, nawet najbardziej mgliste koncepcje, które wyległy się w jego mądrej głowie, winny być wprowadzone w życie.

Z tym właśnie zamiarem powrócił na marmurowe pokoje swojego pałacu. Tam, jak co wieczór, wychylił czarę nalewki z żółci zawistnika na jądzie żmij cmentarnych (wspaniale działa na trawienie), opisał swoje samopoczucie pełnemu szacunku nadwornemu medykowi i wezwał do siebie Sekretarza-Doradcę (w skrócie SD). Sekretarz-Doradca wszedł z zaaferowaną miną trzymając pod lewym skrzydłem safianową teczkę z bieżącymi dokumentami. Ale Jego Drakońska Wysokość tylko machnęła na dokumenty, co wcale SD nie zaskoczyło. Zaskoczyła go natomiast dalsza rozmowa.

Smokrół Ósmy przymknął z rozmarzeniem żółte, skórzaste powieki i oznajmił kapryśnym tonem.

- Mój ty łuskowaty, nadzwyczaj się nam sprzykrzyło, że w ogrodzie rosną te wstrętne, powykrzywiane i kłujące kaktusy. Natychmiast usunąć to obrzydlistwo!

- Tak jest!

- Uprzątnąć kamienie, nawieźć żyznej ziemi...

- Tak jest!

- I zasadzić tam... eee... zasadzić... Ciekawe, a co rośnie w ogrodach Edenu?

- Przepraszam, gdzie?

- W ogrodach Edenu, gamoniu!

- Pokornie melduję, że nie wiem.

- No to niech się dowie! I w ogóle, proszę mi przygotować na jutro niewielkie memorandum o ogrodach Edenu, ogrodzie na wysokościach i o aniołach. Z ilustracjami!

Nieszczęsny SD wypetził z gabinetu jak omdlały lunatyk. W przedpokoju kucnął na ogonie i długo przychodził do siebie. Z uprzedzającą grzecznością pochylił się nad nim komendant ochrony Smobor.

- Stary chyba ma... tego... - wyszeptał SD zapominając o ostrożności. - Aniołków mu się zachciało.

- Wezwać specgrupę? - zapytał rzeczowym tonem Smobor.

- Chociaż ty nie głupiej! - jęknął błagalnie SD. - Dawaj mi akademika, szybko!

Dostarczono mu rozchełstanego, siwego smoczego kurdupelka, najgłówniejszego akademika o imieniu Smofim.

- Co ma pan o aniołach? - rzucił się na niego SD, który zdążył już jakoś się pozbierać.

- Wierszyki, prósz...

- Cooo?

- Za pozwoleniem, litanie, modlitwy, pieśni, utopie, bajki, ballady, kancony, ronda, elegie...

- I co, to wszystko u nas występuje? - z zawodową zręcznością przysunął się Smobor.

- Ależ skąd, jakże tak można... To zagraniczna, że tak powiem, literatura, a także folklor. A u nas - skądże? U nas tylko cherlawe smoczęta przezywają aniołkami. Mnie też, w rozkosznym dzieciństwie... hi, hi...

- Ładny mi aniołek - wysyczał wściekle SD. - Słuchajcie no, Snofim, jutro, tak koło południa, kiedy Jego Drakońska Wysokość raczy zwrócić swoją szlachetną uwagę na sprawy państwowe, mam mieć w pazurach treściwe informacje o aniołach i temu podobnych. Jasne?

- A jakże... Poproszę telefonik, ja zaraz...

Smofim wykonał kilka rozmów telefonicznych i zręcznie zwałił całą robotę na referentów.

Czujny Smobor me wypuścił akademika z przedpokoju, ale okazał wzgląd na jego siwiznę - polecił przynieść koc, poduszki i wiadro jadu giurzy. SD denerwował się przez całą noc, mierzył krokami przedpokój i z wysiłkiem przypominał sobie wszystko, co wiedział o aniołach. Ale do głowy pchało się coś niedorzecznego i niezbyt pocieszającego. SD wmawiał sobie ze wszystkich sił, że to po prostu zawodzi go pamięć.

Rankiem, ostrym wirażem opadł na balkon dziarski goniec z akademii. Podał Smofimowi plik papierów, szcęknał pazurami po parkiecie i wybył.

SD rzucił się zapamiętałe na papiery i szybko rozdzielił je na trzy mniej więcej równe stosiki.

- Tak - oznajmił kładąc pazurastą łapę na jednym z nich. - Ten pokażemy Jego Drakońskiej Wysokości w pierwszej kolejności. Ten, jeżeli najmiłościwiej raczy się dokładnie zainteresować problemem. A ten, czcigodny Smofimie, możecie sobie zabrać i dać jak trzeba po karku temu mądrali, który wpięprzył do anielskiej dokumentacji najrozmaitsze plotki o życiu i rozrywkach rusałek Jan-Czy, metodykę pilotażu na lotni i atlas anatomiczny muchy tse-tse. To wszystko! Jesteście wolni!

Przez następne dwa tygodnie życie Sekretarza-Doradcy pełne było kłopotów. Czasami, kiedy otrzymywał kolejny rozkaz Jego Drakońskiej Wysokości, popadał w stan całkowitego osłupienia. Stwierdzić należy, że docierały doń zaiste zadziwiające polecenia - zasadzić w ogrodzie anemony i narcyzy, dostarczyć do komnat lutnię, zdobyć recepturę ambrozji oraz nektaru, i temu podobne.

Co się dzieje?! - zadawał sobie pytanie Sekretarz-Doradca i nie znajdował odpowiedzi. A to był jeszcze drobiazg, mięta, że tak powiem...

Smokról Ósmy jednak przeczytał wszystkie dostarczone mu materiały na temat aniołów. Któż by przypuszczał... Sekretarz-Doradca bardzo liczył na naturalną starczą sklerozę, ale jego kalkulacje strasznie go zawiodły. Przekłete białe anioły głęboko zapadły w ponurą wyobraźnię Jego Drakońskiej Wysokości i opanowały wszelkie jego myśli. I stawiając pierwszy krok na wytyczonej przez siebie drodze, Smokról zwrócił się pewnego razu do swego niezastąpionego sekretarza: "Mój najdroższy..."

Biedny SD wpadł w histerię - jego, który dwanaście już lat strzeże progę władcy, nie dosypia, nie dojada, trwa na posterunku i w gotowości, oddany do szpiku kości i końców pazurów, przezwano najdroższym! Ale Smokról Ósmy nie dał Sekretarzowi-Doradcy czasu na skomplikowane konflikty wewnętrzne. Powiedział:

- Najdroższy mój, zaproszę mi tu Wielką Radę. No, powiedzmy na jutro, w południe.

Wielka Rada zebrała się o wyznaczonej porze. Zajadłe, o zmatowiałej ze starości łusce smoki z trudem poznawały się nawzajem - Rada dawno już nie zbierała się w pełnym składzie. Najwidoczniej tym razem Smokról miał zamiar zakomunikować swoim poddanym coś rzeczywiście ważnego.

W oczekiwaniu na kolejne historyczne wystąpienie swego władcy członkowie Wielkiej Rady żarłocznie spoglądali na wąskie, boczne drzwiczki, z których zazwyczaj wysuwano przed audiencją stoły z poczęstunkiem. Smoki z rozrzewnieniem wspominały pasztety z wątroby ojcobójcy, pieczone w całości kaszaloty, faszzerowane jaja ptaka Roka, ogromne puchary napełnione krwią dziewic. Miał nawet miejsce uprzejmy spór dwóch smakoszy, z których jeden twierdził, że krew brunetek posiada o wiele wyższe walory smakowe niż krew blondynek. Jego oponent pozwalał sobie nie zgadzać się z przedmówcą. Natomiast ich poglądy na temat nie dającego się Wyłowić bukietu kipiącej lawy z sopki Kluczewskiej były całkowicie zgodne.

Boczne drzwi istotnie się otworzyły i zgodnie z ustalonym zwyczajem, młode smoczyce wytoczyły stoły. Smoczyce były ubrane jakoś dziwnie - w szerokie, białe szaty całkowicie ukrywające figurę. Na ich wdzięcznych główkach widniały wzruszające wianuszki z różyczek. Członków Wielkiej Rady specjalnie to nie zdziwiło - cóż, może taka obecnie panuje dworska moda. Z tym można się było jakoś pogodzić. Ale tego, co Wielka Rada zobaczyła na stołach, zaakceptować w żaden sposób się nie dało.

Na dobrze znanej królewskiej porcelanie z monogramami dostojne smoki nie znalazły żadnego z tradycyjnych dań. Zamiast tego...

Na długich półmiskach leżały wspaniałe bukiety narcyzów, sałata i rzeżucha. W srebrnych czarach piętrzyły się naręcza białych lilii i błękitnych lotosów. Wspaniałe bochny chleba obsypane ziarenkami kminku i kolendry roztaczały nieznaną tu przedtem aromaty. W pucharach rozsiewała blaski słodka amrita. A na dobitkę najwyraźniej zapachniało kadzidłem.

Oszołomiona Wielka Rada, wbijając wzrok w nowe dziwactwa monarszej kuchni, nawet nie zauważyła pojawienia się samego Smokróla Ósmego. Ten natomiast przyjrawszy się żałobnym minom swoich dworzan obłudnie słodkim, ale wyraźnie jadowitym tonem powiedział:

- Co się z wami dzieje dzieciatki moje najmilejsze? Od kiedy to gardzicie królewskim chlebem i solą?

Po takich słowach dwór w milczeniu rzucił się na poczęstunek. Smokról Ósmy z satysfakcją obserwował, jak znikają ze stołów chleby, lilie i lotosy. Nie bez złośliwości patrzył, jak ze źle skrywanym obrzydzeniem wydlubował spomiędzy kłów żółtą lilię wodną leciwy wódz naczelny Smopoleon.

Ponieważ jednak już od dawna na dworze nie znano się na żartach, wegetariański obiad został posłusznie zjedzony, obrażająca zaś smak każdego szanującego się smoka amrita wypita przy akompaniamencie rzucanych w myśli przekleństw.

Całkowicie załamana psychicznie poczęstunkiem Wielka Rada w ciszy wysłuchiwała pokornie maleńkiego koncertu. Młode smoczyce w jasnych szatach przebierały diamentowymi pazurkami struny harf i jak można najwyższymi głosami śpiewały "Wejdz w mój przedziwny, rajski ogród..."

Dworacy zupełnie nie mogli pojąć, co się w gruncie rzeczy dzieje. Smokról natomiast patrząc na swoich wiernych poddanych, którzy zbili się w gromadkę pośrodku sali audiencyjnej, powoli dochodził do stanu wrzenia na swym łożu tronowym. Z podwiniętymi ogonami, opuszczonymi skrzydłami zadziwiająco przypominali zmokłe nietoperze.

- Co? Nie podoba się?! - ryknęła Jego Drakońska Wysokość. - Ugrzęźliście w grzechu i rozpuście, i wzniosła sztuka wam nie odpowiada? Ja was... ja wam... Nauczę was kochać wszystko co jasne i piękne. Skórę z was zedrę, ale zrobię z was anioły! Jesteście wolni! Na razie!...

I członkowie Wielkiej Rady po otrzymaniu od Sekretarza-Doradcy powielonych już materiałów, tych samych, które przygotowała grupa Smofima, wypełzli do przedpokoju. Wódz naczelny Smopoleon dostrzegł na pierwszej kartce adnotację "Do bezwzględneho wykonania" i rzekł prosto, po żołniersku.

- Koniec, chłopaki.

I runął w głębokim omdleniu.

A potem w smoczym królestwie zapanował kompletny rozgardiasz. Lud został obdarowany najwyższym dekretem, który ogłaszał program całkowitego przekształcenia obywateli w anioły w ciągu trzech lat. Po niewielkim, w pełni zrozumiałym oszołomieniu, lud pośpieszył z gorącym odzewem na nowe dobrodziejstwo Jego Drakońskiej Wysokości, który w niewystłownej łasce swojej w dzień i w nocy troszczy się o szczęście swoich poddanych. Odzew ten uzewnętrznił się w manifestacjach i marszach z pochodniami przed pałacem. Z entuzjazmem przyjęto dalej idący plan - smocze społeczeństwo podjęło podwyższone zobowiązania i wyraziło wolę zostania aniołami w ciągu dwóch i pół roku.

Periodyki i gazety rozchwytywano. Wielką popularnością cieszył się naukowy artykuł Smofima o starym, genetycznym pokrewieństwie aniołów i smoków. A więc i te i tamte mają skrzydła, te latają i tamte również, wcale nie gorzej. Natomiast pióra anielskich skrzydeł to nic innego jak przekształcone w wyniku ewolucji łuski smoków.

- Patrzcie no - dziwiły się smoki. - Coś podobnego... A my nie wiedzieliśmy i zeszlibyśmy ze świata w tej niewiedzy.

Dlaczego więc w takim razie te anioły zadzierają nosa? Czasem spotkasz takiego w przestworzu, to nawet się nie przywita, przeleci przez ciebie, jakby nie widział. No, teraz pokażemy im, kto jest aniołem! Ależ poszybujemy w górę!

Z pełną pompą odbył się pokaz nowej kolekcji domu mody - chitony, muślinowe draperie, najrozmaitsze futerały, dzięki którym skórzaste narządy lotne starodawnych gigantycznych gadów zupełnie nieźle udawały skrzydła serafinów i cherubinów. Już następnego dnia światowe smoczyce paradowały na przyjęciach w nowomodnych strojach, choć z braku przyzwyczajenia nieco się w nich plątały.

Pewne przygnębienie wywołała wydana pośpiesznie broszurka nadwornego medyka Smotryta o szkodliwości mięsnej diety. W godnych poetyckich strofach nadworny medyk wynosił pod niebiosa doskonałą jakość wegetariańskich środków spożywczych - nektaru, ambrozji, pyłku kwiatowego. Ale niewiele czasu pozostało na przygnębienie, jak również na wahania w rozwiązywaniu problemów gastronomicznych, bowiem z masarni i sklepów podejrzenie szybko zniknęły tusze bawołów, słoni i w ogóle wszystkiego, co można było nazwać mięsem. W barach i restauracjach zapanował zwyczaj podawania mleka i soków owocowych. Chcąc nie chcąc trzeba się było przyzwyczaić.

Ale jak powiadają, bieda wszystkiego nauczy. Pewnego razu patrol legionu "Naprzód do anielizmu" zajrzał pod pewien adres uprzejmie zakomunikowany przez czujnego patriotę, który zapragnął utrzymać swoje nazwisko w tajemnicy. Płonący słusznym oburzeniem informator oskarżał swoich sąsiadów o gwałcenie zasad anielizmu wyrażające się w tajnym mięsożerstwie.

Patrol wtargnął i zastał imieniny pani domu w pełnym toku. Nad zastawionym do imieninowej uczy stołem w rzeczy samej unosiły się przestępcze aromaty. Gospodyni jednak nie straciła głowy. Przysiadając w głębokim reweransie przed dowódcą patrolu podała mu wielką czarę napoju, od zapachu którego dzielnemu kapralowi od razu zakręciło się w głowie.

- Co to takiego? - ryknął groźnie.

- Z pozwoleniem waszej miłości, kwas.

- Kwas?

- Właśnie tak. Tylko... najpokorniej proszę o wybaczenie, widzi pan, stał w cieple i dlatego, być może...

- Aha, w cieple! - i kapral zręcznie osuszył czarę jednym haustem.

A gospodyni, spowita fałdami błękitnego szyfonu już podawała kapralowi talerz, na którym zarumienioną skórką połyskiwał beczelnie pieczony królik.

- Mięso? - ryknął kapral.

- Ależ skąd, proszę pana... Mięso obciąża smoka, nie pozwalając mu osiągnąć anielskich wyżyn, jak mądrze zauważył nasz największy uczonec Smofim. To, za pozwoleniem waszej miłości, tak zwany fałszywy królik - z makaronu i marchwi.

- Aha, z makaronu i marchwi... Cóż, to można, tego się nie zabrania.

Cieniutkie królicze kostki nawet nie zachrząściły w zębach kaprała. Połknął królika w całości i z przesadnym zdziwieniem powiedział:

- Rzeczywiście, z makaronu i marchewki. Bardzo smaczne! W lewo zwrot, chłopaki, tu wszystko w porządku.

I patrol oddalił się krokiem marszowym.

Na głównym placu patrol zatrzymał się na chwilę przy Królewskim Muzeum Sztuk Pięknych, z którego drzwi wylatywały na bruk wykonane w Żółtej Krainie obrazy i zwoje jedwabiu z podobiznami lśniących smoków. Zamiast nich w salach galerii rozwieszono były płótna malarzy Kraju Pomarańczy, specjalizujących się prawie wyłącznie w malowaniu aniołów.

Zza pobliskiego ogrodzenia przedszkola dobiegały głosy niezgrabnego chóru smocząt: "W jasne niebo społem lecim, Drakońską Wysokość stawim wciąż".

Nad stadionem eskadra dobrze wyszkolonej młodzieży poznawała metodykę serafińskiego pilotażu. Z ziemi dobiegał ochryply ryk kapitana drużyny: "Lżej, lżej! Żeby cię... przecież to nie anioł, ale latająca beczka! Gdzie się pchasz, idioto, kładź się na skrzydło, a potem pływanny zwrot... Wzrok wznos ku górze, cóż tak ślepie wytrzeszczył, ciemnoto?!

Na centralnym rynku tłum aktywistek ruchu "Naprzód do anielizmu" długo i zażarcie kopał na wpół dzikiego ciemniaka z Czarcich Wąwozów, który nawet nie podejrzewając tego co dzieje się w stolicy, przywiózł na targ świeżą koninę. Wieśniak ten niezbyt interesował się polityką i nawet nie wiedział, że Czarcich Wąwozów też już nie ma, bowiem miejscowość ta nazywa się obecnie Pałac Cherubinów.

Patrol ukrócił nieporządki i trzymając chłopca pod wyłamane skrzydła zawłókł go do lochów pałacowych, aby tam w trakcie cichej, intymnej rozmowy wyjaśnić, czyje wrogie podszepty skłoniły pobitego półgłówek do takiego kroku.

Kapral zaczął od wybicia wieśniakowi dwóch kłów i kazał mu stać na baczność.

- No, gadaj, kto cię namówił?

- Do czego namówił?

- Kto cię, łajdaku, namówił, żebyś przywiózł do stolicy tę przeklętą koninę?

- Czemu "przeklętą"? - Wieśniak nawet się obraził. - Dobra koninka, panie kapralu, świeżutka. My zawsze...

- Milczeć! Ja ci pokażę - "zawsze"! Nie strugaj durnia, przejrzałem cię na wylot! Po co przywoziłeś mięso? .

- Przecież my, panie kapralu, zawsze handlowaliśmy mięsem. I dziadek mój, i tatuś nieboszczyk, i ja sam tyle już lat przywożę mięso do miasta i nigdy nic, zawsze byli zadowoleni...

- Otóż to. Wpadłeś bratku. Ładne rzeczy - twoja wredna rodzinka "zawsze" truła sławetne smocze plemię zabójczym dla zdrowia mięsem i przez to na wiele lat opóźniła triumf anielizmu. Dywersant z ciebie i twojego tatusia nieboszczyka. Poczekaj! A skąd... wzięte to mięso?

- A my, panie, kapralu, zawsze polujemy w Południowym Stepie, a potem, znaczy się...

- Dosyć. Wystarczy. Na dodatek jesteś jeszcze szpiegiem. Za ile, ścierwo, sprzedałeś południowcom swoich braci-smoków, którym niewiele już brakuje do anielizmu? Weźcie mi go sprzed oczu i utopcie, nie mogę już na niego patrzeć.

W tym samym czasie głównodowodzący Smopoleon przeżywał poważny dramat rodzinny. Jego żona, jedna z najpiękniejszych smoczyc kraju, odsunęła swego męża od małżeńskiego łóża.

Pewnego wieczoru Smopoleon we wspaniałym nastroju wszedł do sypialni swojej żony. Siedziała przy oknie w marzycielskiej pozie i patrzyła w gwiazdy. Łagodny wietrzyk bawił się wstążeczkami liliowego chitonu. Na dywanie leżała lutnia obsypana płatkami róż z rozsyanego bukietu. Smopoleon widząc zniszczony bukiet zaniepokoił się:

- Co się stało, kochana?

Małżonka wbiła wzrok w obraz przedstawiający archanioła Gabriela, który z miłym uśmiechem podawał białą lilię i odparła znudzonym tonem:

- Ach, odczep się.

Smopoleon miał zamiar pocałować żonę w łuskowate ramionko, ta jednak odsunęła się z poirytowaniem.

- Nie rozumiem?

- Zostaw mnie.

- Co się stało mojej żabce, mojemu maleńkiemu ptaszkiowi? Czemu odpędza swego wiernego mężusia?

- Smopoleonie, jesteś durniem. Od tej pory drzwi mojej sypialni są przed tobą zamknięte raz na zawsze!

- Kochana, po cóż sięgać do tak drastycznych rozwiązań? Może omówimy wszystko spokojnie i dojdziemy do porozumienia? Czego pragnie moja ukochana? Nowego naszyjnika z ludzkich czaszek czy może etoli z futra ślimaków?

- Kretyn. Nie masz nawet odrobiny rozsądku, żeby pojąć, iż twoja żona jako najbardziej przodująca smoczyca kraju, całym sercem przyjęła idee anielizmu.

- Mam nadzieję, kochana. Ale co ma do tego nasza miłość?

- Miłość!" Nie śmieję nazywać tym wzniosłym słowem swoich brudnych chuci! Jesteś złym obywatelem i złym poddanym, niedbale zapoznałeś się ze wskazówkami, które raczył ci dać Jego Drakońska Wysokość. Tam zaś napisano wyraźnie, że anioły... więc, jednym słowem, drzwi mej sypialni są na zawsze przed tobą zamknięte!

Mówiąc między nami, małżonka Smopoleona nie była jedyną smoczyca w kraju, która całym sercem przyjęła idee anielizmu. Właśnie dlatego w położonym pod fundamentem willi Smopoleona bunkrze zebrali się wkrótce ojcowie założyciele Ligi Obrony Smoczyzmu. Był również obecny wychudły SD rozwścieczony obiadekami z rzeżuchy. Pierwsze posiedzenie ligi było mało konstruktywne - wszyscy się skarżyli. Na lamentach i narzekaniach minęła cała noc. O świcie Liga zjadła dwa słonie, a potem rozjechała się.

Tymczasem proces anielizacji tryumfalnie kroczył przez cały kraj. Po uważnym zbadaniu wszelkich zebranych informacji o życiu mieszkańców ogrodu na wysokości, teoretycy szkoły Smofima poczynili interesujące wnioski - anioły jako takie są po prostu... aniołami. A w związku z tym nie jedzą, nie piją alkoholu, nie kradną, nie kłamią, nie zabijają i tak dalej, wszystko "nie". W dodatku zaś wysoko niosą sztandar. Ale dlaczego zachowują się tak anielsko? To bardzo proste - nie posiadają własności, która ma właściwość rozpalania niezdrowych instynktów. Jedyne, co posiadają to aureola, chiton, lutnia i sandały. Wniosek - precz z własnością we wszelkich jej odmianach i wtedy smoki staną się aniołami!

Ale jakąż własność może posiadać mieszkaniec miasta? Drzwi, zasuwkę, ranne pantofle i nocnik? To oczywiste, że źródło wszelkiego zła znajduje się na wsi, gdzie chłop w swych rewirach myśliwskich, w swoim domu nad bogato zaopatrzoną piwnicą siedział jak panisko, w kaszę nikomu nie dmuchał i wcale nie miał zamiaru przeradzać się w anioła. Było mu dobrze i tak.

I dopóki ci chłop-skąpiradła nie wyrzekną się swojego dobytku, prędzej potężne państwo smocze zobaczy własne uszy niż powszechną anielizację i obywatele jak byli, tak będą dalej nieokrzesanymi smokami.

Zarządzono program rozsmoczenia wsi.

Rozsmoczono...

Do Ligi Obrony Smoczyzmu wstąpił w trybie nagłym wybitny pisarz Smopir. Na drugim tajnym zjeździe patrząc z obrzydzeniem na zastawiony trawkami (w celach konspiracji) stół deklamował namiętnie.

- Co się dzieje, bracia? Pragnę być smokiem i nikim innym! Nasze sławne plemię istniało zupełnie zadowolająco przez tysiące lat, dlaczego więc teraz ma ono zniknąć? Żyliśmy sobie nie najgorzej, aż tu macie! Z woli tkwiącego w marazmie sklerotyka... proszę na mnie nie syczeć, generale Smopoleonie! Powtarzam - z woli tkwiącego w marazmie sklerotyka, który ze względu na swój nieżyty żołądek może obywać się owsianką, że nie wspomnę już o smoczycach, sami wiecie... Z jego kaprysu naród nasz pozbawiony został wszystkich przyrodzonych praw! Gdzież to ktoś widział, żeby zmuszać smoka do jedzenia siana! Żeby zabraniać mu swobodnych polowań w południowych stepach! A na domiar złego okazuje się, że te przeklęte anioły są bezpłciowe i rozmnażają się nie wiadomo jak. I co dalej robić? Nie potrafie rozmnażać się nie wiadomo jak! Naród nasz wymrze w ciągu najbliższych stu lat z powodu wegetariańskiej diety i anielskiej moralności. A sąsiedzi nas wyśmieją!

- Masz rację, bracie - roniąc skąpą łzę oświadczył Smopoleon. - Wczoraj chciałem się udusić. Przyjechałem do koszar "Alfa", wyszedłem na plac i własnym oczom nie mogłem uwierzyć. Garnizon stoi w trójszeregu, trzepoce białymi skrzydełkami, w łapach lutnie i takimi obrzydliwymi głosami śpiewają psalm. Tfu! Pora umierać, koniec smokom.

- A wokół króla kręci się ta smofimowska banda - ponuro zakablował Sekretarz-Doradca i wydmuchał nos w chusteczkę o rozmiarach prześcieradła. - Do obu uszu mu szepczą - ach, Wasza Drakońska Wysokość, jakże pięknie wygląda pan z tymi cudownymi skrzydełkami, z tą wspaniałą aureolą nad olśniewającym czołem!

- Jaka aureola? Co, może stary od tych postów zaczął się już świecić?

- Ależ skąd. Aureolka z drutu, wysadzana diamentami. W jakiś sposób przymocowali mu nad głowę, a stary cieszy się jak dziecko. A oni mu wciąż - Wasza Drakońska Wysokość już jest prawie serafinem. Wkrótce zaczną go nazywać archaniołem. Stary rozpląta się, we wszystko wierzy, uczciwie tylko kwiatuskami się żywi. Ale tamci... Przechodzę wieczorem obok kuchni, patrzę - leży zakrwawiona barania skóra. Aha, myślę sobie. I specjalnie przypadkowo trafiam na obiad. No i co myślicie? Mięso

wcinają! Po prostu zaniemówiłem na taką bezczelność! Ale Smoflm patrzy mi czule w oczy, bierze pod łokieć i meczy - a to, powiada, wcale nie mięso, jak się to może panu wydaje. To nowy syntetyczny produkt spożywczy, wszyscy zaś uczujący to ochotnicy, którzy wystawiają na szwank swoje zdrowie po to, aby zbadać ów produkt, którym wkrótce zostanie zasypany cały smoczy rynek, jeżeli eksperyment zostanie pomyślnie zakończony. Co mi on wciska? Myśli, że mięsa nie widziałem?

Na dźwięk słowa "mięso" wszyscy konwulsyjnie przełknęli ślinę.

- W takim razie w ogóle nie rozumiem, po co to Smofimowi było potrzebne? - zapienił się Smopoleon.

- Jak to po co? Podbija staremu bębenka, przytakuje nowej bzdurze, starszek zbliżył akademika do swojej osoby i Smofim jest teraz pierwszym doradcą króla. S-s-s-specjalista do spraw aniołów...

Ślepia Smopoleona zapłonęły mrocznym ogniem żądz mordy, stalowoszare pazury obnażyły się powoli. Mamie byłoby ze Smofimem, gdyby się tutaj teraz znalazł.

- Najbardziej dziwię się, moi panowie, dlaczego milczy lud? Czyżby lubił przeżuwać na śniadanie lilie wodne i widzieć w swojej smoczycy nie żonę, ale towarzyszkę w anielizmie? Czyżby kły nam stępiły, a pazury nie świerzbiły? - Smopir uwielbiał piękne zwroty oratorskie.

- Licho wie, to jakiś fenomen. Rozumiesz, bracie, nikt się nie zdążył połapać. A poza tym zastanów się - Smokról panuje od niepamiętnych czasów. Przywykli do posłuchu. A mówiąc między nami, pazury świerzbą. Kapral z patrolu się wygadał - nie wszystko układa się tak cicho i spokojnie jak nas zapewnia "Goniec poranny". Kapral był zdrowo wymiętoszony. W nocy, powiada, starali się zwinąć jakiegoś smoka na przedmieściu. Nakryli go, kiedy rozszarpał ukradzionego z zoo tygrysa - z głodu można się połakomić na byle co. Patrol rzucił się na biedaka, ale ten, doprowadzony do ostateczności, kaprala poturbował, patrol rozpedził i tyle go widzieli.

- O, proszę! Są jeszcze bohaterowie! Dopóki istnieją tacy jak ten dzielny nieznajomy, duch smoczy nie zginie!

- Niech pan na razie wstrzyma się z tymi odami. To jeszcze nie wszystko. W prowincji Kobra powstanie.

- No? To dlaczego tu jeszcze siedzimy?

- Chociaż... powstanie, to może zbyt silne określenie. Jednak oddziały anielizacyjne spotkały się z poważnym oporem ze strony aborygenów. Lud tam jest prosty i ciemny, i w ogóle nic się nie wyznaje na tych aniołach. Ale sprawę terenów łowieckich - o... tę rozumie doskonale. Innymi słowy, kotłuje się tam. I w prowincji Boa, i w prowincji Iguana...

- Fatalna sprawa, smoki. To wojna domowa: Wegetariańskie zarcie, anielska moralność i wojna domowa! Nic więcej nie trzeba, aby zniszczyć nasze sławne plemię. Koniec... - Mądry łeb Smopira opadł na blat stotu.

Rozchodzili się w przygnębieniu. Smopir, stojąc na ganku długo wpatrywał się w gwiazdy i rozprostowywał skrzydła przed startem. Jego uwagę zwrócił ostrożny szmer w rosnących koło domu krzewach tarniny. Pisarz uważnie wpatrzył się w ciemność.

Od domu co sił w nogach umykał, lawirując między ciernistymi krzewami, niewielki krokodyl.

Szpicel, pomyślał Smopir oblewając się zimnym potem. Ech, przegapiliśmy... - Popędzić krokodyla Smopir nie był w stanie, tamten biegał szybciej. Dopaść szpicla z powietrza również się nie uda - już się ściemniło.

Smopir nie poleciał do domu, lecz udał się do znajomej smoczycy aby tam, pijąc wino, oczekiwać aresztowania. Był do tego stopnia szlachetny, że powiadomił Smopoleona i Sekretarza-Doradcę, iż najprawdopodobniej Ligę szlag trafił. Słyszając to, rozwścieczony Smopoleon wyrzwał, że wszystko mu już obrzydło do ostateczności i że lepiej paść w ucziwej walce o słuszną sprawę, niż pełzać jak wzgardzony przez wszystkich wąż. A potem popędził do koszar, aby wezwać armię do broni.

Smopoleonowi nie udało się zginać w ucziwej walce. Garnizon stacjonujący w koszarach "Alfa", całkowicie zdemoralizowany śpiewaniem psalmów i poważnie osłabiony racjami żywnościowymi z górskiego siana, okazał się niezdolny do walki. Okrążono go, zręcznie rozdzielono, dano każdemu buntownikowi po łbie i zapędzono z powrotem do koszar. "Anielskie zastępy" walczyły wspaniale, zupełnie jak archistrateg Michał...

Generała natomiast związano i dostarczono do pałacowych lochów. A potem - wiadomo. Buntownika należy przesłuchać przy użyciu środków przymusu i sprzątnąć. Ale już na samym początku przesłuchania powstał pewien problem - więzień nie chciał odpowiadać, tylko wściekle kłął. Dać mu w zęby? Trochę niezręcznie - w końcu to generał. Natomiast użycie tortur nie miało najmniejszego sensu. No bo jak torturować opancerzonego łuskami smoka? Przecież ma głęboko gdzieś wszelkie metalowe przedmioty i rozżarzone węgle. Oprawcy, nieco zakłopotani, chwilowo pozostawili swoją ofiarę w lochu. Okazało się,

że posiadają niewielkie doświadczenie i niskie kwalifikacje. Trzeba się było uczyć. Pomyślawszy nieco, przyszli mistrzowie katowskiego rzemiosła wystąpili z podaniem o skierowanie kilku przedstawicieli do Krainy Czarnej Pająka w celu doskonalenia metod pracy.

Ta właśnie zwłoka zapewne tłumaczy fakt, że następnego dnia nikt nie przyszedł po Smopira, Sekretarza-Doradcę ani po żadnego z członków założycieli Ligi. Kiedy jednak ledwo żywy ze strachu i niemiłych przeczuc SD przypęzł do pałacu, aby pełnić służbę u wrot Jego Drakońskiej Wysokości, podszedł do niego z typowym dla niego dobrotliwym uśmiechem Smofim i rzekł:

- Jakoś marnie pan wygląda, mój drogi. Nasz władca w niewypowiedzianej łaskawości swojej raczył zwrócić na ten fakt swoją najwyższą uwagę. Nawet naradzał się z nadwornym medykiem, który zaordynował panu intensywne odżywianie.

Należy stwierdzić, że ostatnimi czasy nieszczęsny SD stale znajdował się na granicy głodowego omdlenia. Nie mógł sobie pozwolić, jak niektórzy inni, na "fałszywe króliki z makaronu i marchewki". Bądź co bądź, ciągle znajdował się przed oczyma władcy i nie daj Boże, gdyby tamten zauważył tłustą plamę, albo poczuł jakiś zapach... Dlatego też na głęboką troskę Smofima zareagował wściekłym zgrzytnięciem kłów. Smofim udał, że nic nie zauważył i ciągnął dalej:

- Dlatego też Jego Drakońska Wysokość rozkazała raczył, iżby od chwili niniejszej wydawano Panu co tydzień przydział specjalny składający się z produktów żywnościowych o zwiększonej kaloryczności...

W tej samej chwili smętny asystent Smofima postawił przy nogach Sekretarza-Doradcy obszerny koszyk, z którego dolatywały oszałamiające aromaty. Na przekór wszelkim zasadom anielizmu sterczała z niego połówka tuszy baraniej i ogon białugi. .

Prowokacja! - pomyślał w panice biedny SD. Nie zdążył jednak odrzucić z dumą owego danajskiego daru, bowiem Smofim wytrzeszczając naiwnie oczy wymruczał:

- Co się z panem dzieje, mój drogi? Mowę panu odejęto od nadmiaru uczucia wdzięczności za okazaną łaskę? Jakże to rozumiałe... Proszę się nie denerwować, uspokoić...

- Ale to...co to?!

- Widzi pan, mój drogi, ostatnimi czasy nasz Instytut Żywności osiągnął oszałamiające, nieprawdopodobne sukcesy. Zostały zsyntetyzowane produkty żywnościowe, które prawie idealnie imitują grzeszne mięso i ryby. Zostały one jednak wykonane z całkowicie wegetariańskich składników wyjściowych, o to może być pan zupełnie spokojny! Ja sam jem tę żywność! To zaś, że owe produkty żywnościowe zewnętrznie przypominają poprzednie, stanowi maleńkie ustępstwo na rzecz naszych pradawnych instynktów, których, sam pan przyzna, nie sposób wykorzenić od ręki. W przyszłości zaopatrzymy w takie towary wszystkie smoki, chwilowo jednak, sam pan rozumie, nie starcza nam mocy produkcyjnych. A potem. .. o, cóż za perspektywy otwierają się przed nami! Będziemy robić takie maleńkie tabletki - połknie się jedną, i będzie się syty przez cały dzień. Idealnym rozwiązaniem w dążeniu do osiągnięcia prawdziwego anielizmu byłoby pełne odzwyczajenie smoków od złego, atawistycznego zwyczaju odżywiania się. Ale to we właściwym czasie. Na razie proszę wziąć koszyk, nie opowiadać o tym i nie dziękować królowi - władca uważa za swoją powinność troszczyć się o swe wierne sługi. I niech pan pamięta - dopóki pilnie spełnia pan swoje obowiązki, dopóty taki koszyk będzie pana oczekiwać co tydzień. Wszystko pan dobrze rozumiał?

Sekretarz-Doradca wszystko dobrze rozumiał. Wieczorem, na kolację, jego smoczęta najadły się do syta, zupełnie jak za dawnych czasów. Jego smoczyca z zachwytem wystawiała króla i osiągnięcia nauki. Narzekała na to, że z powodu buntu w prowincjach prawie ustały dostawy nawet dozwolonych produktów. Ale teraz, dzięki łasce władcy, ich rodzina nie umrze z głodu i ona sama nie będzie musiała błąkać się po rynkach w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia dla maleństw. Sam zaś SD żuł mięso i myślał: Niech mnie szlag trafi, niech mnie Tyfon weźmie, ale przecież to baranina! Jeszcze nie zapomniałem jej smaku. Nic nie rozumiem. Kto kogo tu oszukuje? Smofim że swoją bandą robi króla w konia, Król mnie, ja żonę i wszyscy razem robimy ludowi wodę z mózgu. Ale przecież nie chciałem tego. Jak się to stało?

Zresztą, SD wkrótce przywykł do cotygodniowego specjalnego przydziału. Do takich rzeczy można się przyzwyczaić zadziwiająco szybko. I już zupełnie bez skrupowania kładł przed żoną olbrzymią wątrobę kaszalota i mówił:

- A to, moja droga, zostało zrobione z czerwonej koniczyny. Spróbuj, w smaku prawie nie różni się od prawdziwej, co? Żona próbowała w zamyśleniu i kręciła głową:

- Nie, żabeczko. Wiesz, jednak jest różnica. Prawdziwa trochę trąci jakby goryczką...

- No nic, dobrze, że choć taką mamy. Wiesz przecież, że w mieście...

A w mieście było źle. Zoo zjedzono już dawno. Jakiś czas smoki próbowały wytrzymać żywiąc się zgodnie z ideami anielizmu sianem, ale zaczynały się już głodowe psychozy, już umierały dzieci, starcy,

chorzy... Krążyły przerażające słuchy o przypadkach smokożerstwa. Kiedy zaś z objętych buntem prowincji zaprzestano dostarczać nawet siano, rozpoczęła się ogólna ucieczka ze stolicy. Wygłodniałe smoki pasły się na rzecznych łąkach pożerając żółte lilie wodne i trzcinę, i nawet najczujniejsze patrole z "Anielskich zastępów" nie były w stanie spostrzec, kiedy smok wraz z naręczem wodorostów pakował do paszczy rybę albo nieostrożną czaplę siwą. Poza tym szeregowcy z "Anielskich zastępów" też nie byli aniołami. Każdy chce jakoś żyć.

Spółeczeństwo zostało poinformowane o haniebnych przypadkach emigracji niektórych smoków w ościenne kraje. Smoki te w tajemnicy przekraczały granice i oczywiście od razu rzucały się na tłuste stada. Przystępców jednak schwytano i wsadzono do stalowych klatek. No i pędzą teraz nędzny żywot w zwierzyńcach dostarczając rozrywki gapiom.

Wydarzenia te strasznie irytowały pisarza Smopira. Patrząc w okno, gniewnie szczękał kłami i płodził gniewne apele, sens których sprowadzał się do prostej idei: "Z powrotem do prawdziwego smoczyzmu!"

W samotności, jakiej nie była mu już w stanie osłodzić przyjaciółeczka, która zresztą zdążyła mu się diabelnie uprzykrzyć, zdziaczał do tego stopnia, że nawet ucieszył się, kiedy przybyli po niego dwaj sierzanci z pałacowej straży. Nieokiełznana wyobraźnia pisarza natychmiast nakreśliła obraz niesprawiedliwego sądu, na którym on, oczywiście, wygłosi namiętną mowę, publiczność będzie szlochać, a występni sędziowie drząc w swych czarnych togach wleżą pod stół nie mając odwagi spojrzeć w oczy niewinnie skazanemu i odpowiedzieć rozgniewanemu ludowi. Oczywiście, po procesie tłum wyniesie go tryumfalnie z sali, smoczyce obrzucą go kwiatami... W tym momencie Smopira silnie potrząsnęto i pisarz oprzytomniał. Okazało się, że stoi bezpośrednio przed łóżem tronowym, z którego spogląda nań miłościwie Jego Drakońska Wysokość Smokról Ósmy.

- Smopir usiadł na ogonie, zaniepokojony. W tym momencie do złudzenia przypominał psa, wielkiego, mądrego psa, który oczekuje od swojego pana spokojnej bury za przypadkowe przewinienie.

- Jakże tak, mój ty utalentowany? - z pełnym dobroci wyrzutem w głosie zwrócił się król do pisarza. - Ładne rzeczy mi o panu opowiadają!

- Złośliwi i zawistni wrogowie moi - dziarskim, wyuczonym tonem ryknął Smopir.

- Ta-ak? No, niech i tak będzie. Wie pan przecież, mój genialny, jaki jest mój stosunek do pana. Nawet ich nie słuchaliśmy. .. Wtedy pokazano mi właśnie to...

W powietrzu błysnął i opadł na dywan żółty arkusik papieru, zapisany dobrze znanym charakterem Smopira. Literat zamarł - był to jego wczorajszy manifest. Tak naprawdę nic szczególnego w nim nie było. Rozpoczął się od lkań przepełnionych tęsknotą za starymi, dobrymi czasami. Potem w jaskrawych barwach odmalowana została smutna rzeczywistość. A w zakończeniu wyrażona została nadzieja na świetlaną przyszłość. Podczas gdy Smopir gorączkowo starał się obmyśleć taktykę obrony, Smokról Ósmy uronił łzę i kiwając ciężką głową, rzekł:

- Ach, jakże pan nie ma racji, mój słynny. I z jakim smutkiem widzimy, że najlepsze umysły narodu błakają się w mgłę przestarzałych dogmatów i omszałych stereotypów, zamiast tego, aby zjednoczywszy swe siły w trudnej dla kraju chwili, uczciwie służyć szlachetnej sprawie smoczego postępu. Proszę się zastanowić, dokąd przyzywa pan nasz naród, który tak wiele wycierpiał? Do mroku minionych wieków, do okrutnego barbarzyństwa? W pętą lepkiej pajęczyny przesądów? Czymże jest prawdziwy smoczyzm, - którego pan tak uparcie broni? Całkowitym barbarzyństwem! Proszę nie protestować, nie trzeba. Lepiej niech pan uda się do Smofima, a on pokaże panu wszystkie materiały opracowane przez grupę teoretyków.

Smopir spędził w pałacu cały tydzień. Codziennie robiono mu wykłady, pokazywano filmy, przedstawiano obliczenia, namawiano, błagano, przekonywano. Wkrótce zaczął odczuwać wyraźne symptomy rozmiękczenia mózgu i poprosił, żeby pozwolono mu odpocząć. Na jakiś czas pozostawiono go w spokoju. Smopir leżał na nagrzanym słońcem balkonie i rozmyślał.

Pod wieloma względami mają rację, zastanawiał się pisarz. I wszystko to jest bezpośrednio związane z filozofią starożytną. Istotnie, istnieli u nas myśliciele, którzy nieco przedwcześnie głosili równość wszystkich, miłosierdzie i dobroć. Co prawda, los ich był nie do pozazdroszczenia. Smok wyznający takie ideały nie przeżyje w naszym okrutnym świecie. To śmieszne, doprawdy - smok i miłosierdzie! A poza tym, co to znaczy "równość"? Z jakiego to niby powodu ja - potężny, piękny, mądry i utalentowany, powinienem uważać jakiegoś jękającego się smoka-niedojdę, wioskowego przygłupa, za równego sobie? Tak, ale ma to sens dopóty, dopóki obaj jesteśmy smokami. Ale gdybyśmy zostali aniołami, to o co mamy się kłócić? Żarcia nam nie trzeba, terenów łowieckich również, bab - to rozumie się samo przez się, biorąc pod uwagę bezpłciowość. No i dlaczego mielibyśmy skakać sobie do gardła? Do diabła, to pociągające... Chociaż z drugiej strony umarlaki też się nie sprzeczą i również nic im nie potrzeba.

Wygląda na to, że być aniołem to wcale nie lepiej niż być umarlakiem. Zresztą, Smofim mruzczał coś o wyżynach poznania i doskonalenia moralnego. Trzeba to przemyśleć...

A przy okazji, o umarlakach. W czasie, kiedy w kancelarii podejmowano decyzję, co począć z upartym Smopoleonem, ten cicho kopnął w kalendarz w podziemnym lochu. Z głodu. Taki był żalony koniec Słynnego niegdyś wojownika.

Smopir zaś nie rozumiał do końca o co chodzi w tym moralnym doskonaleniu i poważnie podejrzewał, że akademik wymyślił wszystko z jednego, prostego powodu. Smofim był cherlawy, wymęczony nauką i zdechłak z natury. Nie udałoby mu się dorwać do władzy i wszystkiego, co władza daje. Ale gdyby zdołał namówić wszystkie smoki, żeby zostały aniołami... Cóż, w kurniku i kogut jest orłem. Smopir udał się do akademika, by uzyskać dodatkowe wyjaśnienia.

Ów uczony mał poważnie się zmienił ostatnimi czasy - stał się pobłażliwy i niedbale protekcyjny. Chętnie zniżył się do rozmowy z pisarzem. Najpierw powtórzył wszystkie dobrze już znane informacje o ogrodzie na wysokości i zbawiennej roli idei anielizmu dla smoczego rodu.

Kiedy zaś Smopir zaczął ryczeć, że smoki po prostu wymrą na długo przed tryumfem idei anielizmu, Smofim odparł twardo:

- Tak. Tak, mój przyjacielu. Zdajemy sobie sprawę z tego, że jakaś część społeczeństwa powinna złożyć się w ofierze, złożyć swoje kości w fundament świetlanej przyszłości. To nieuniknione i proszę mi wierzyć, głęboko nad tym ubolewam. Za to potomkowie nasi będą żyć w raju. Piękny cel wart jest poniesionych ofiar, nieprawdaż? Aniołowie są nieśmiertelni i nasze dzieci uzyskawszy anielskość staną się wiecznymi, doskonałymi istotami. Proszę to sobie tylko wyobrazić!

Wstrząśnięty Smopir wyobraził sobie. Nieograniczoną gromadą unosiły się w promienisty zenit bezgrzeszne istoty, o których pochodzeniu przypominał jedynie zielonkawy refleks na potężnych skrzydłach. Eter rozbrzmiewał chóralnym, uroczystym śpiewem. Chwała wiecznemu szczęściu unosiła się nad polami narcyzów i asfodelii...

Wzniosła wizja dokonała przełomu w monumentalnej świadomości pisarza. Załkał ciężko, okazując skruchę za to, że kiedyś, nikczemnie zwątpiwszy wstąpił do Ligi Obrony Smoczyzmu, tej kompanii amatorskich spiskowców - konserwatystów. Nie, precz, z zawstydzającą przeszłością! Od tej pory pragnie służyć swoim piórem sprawie wyniesienia narodu!

Szczerzy zapach Smopira oceniono godnie i zaproponowano mu na początek, opracować projekt pewnego dokumentu, nazwanego umownie "Moralne nakazy anielizmu". Pisarz, czując się pochlebiony najwyższym zaufaniem, z entuzjazmem zabrał się do pracy. Było rzeczą zupełnie zrozumiałą, że dostarczano mu co tydzień osławione kosze ze sztuczną żywnością, dzięki czemu mógł tworzyć w spokoju, nie zaprzatając swej uwagi problemami chleba powszedniego.

I nie wiadomo czym by się to skończyło, gdyby pewnej nocy Jego Drakońska Wysokość Smokról Ósmy nie poczuł pragnienia.

Nie wiadomo czemu na dźwięk dzwoneczka nikt się nie pojawił. Przeklinając niedbałą służbę Smokról spełził z łoża i powłókł się do kuchni, która obecnie nazywała się laboratorium syntetycznej żywności.

W kuchni płonął ogień w paleniskach, rozlegał się brzęk naczyń, głosy kucharzy, syczenie rozgrzanego tłuszczu na patelni. Zaintrygowany tym hałasem Smokról ostrożnie zajrzał w drzwi. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim. W pomieszczeniu kuchennym wszystko było tak, jak dawnymi, smutnej pamięci, czasy. Krzątali się kuchcikowie, ciągnęli sprawione tusze zwierzęce, rąbali je na kawałki, pakowali do kotłów, piekli całe góry drobiu.

Smokról wszystko rozumiał. Akademik i jego sprytni asystenci-teoretycy okazali się zręcznymi praktykami. Ośmielili się wodzić za nos swojego króla! A on wierzył, że podawane mu pasztety zostały wykonane z warzyw i Owoców! Jak śmieli oszukać króla i pohańbić wielkie idee anielizmu!

Królewski gniew był straszny. Od grzmiącego królewskiego ryku pałac drżał i kołysał się w posadach. Jego Drakońska Wysokość szalał przez pozostałą część nocy. A o poranku nieszczęsnego, wrzeszczącego Smofima zakutego w łańcuchy zawleczono na sąd i kaźń.

Ale, jak już wspomnieliśmy wyżej, Smokról był stary i mądry. Dlatego, kiedy ochłonął, zastanowił się poważnie nad tym, co skłoniło szacownego akademika do oszustwa. Po namyśle król doszedł do wniosku, że zapewne zwycięskie relacje o całkowitym tryumfie idei anielizmu są taką samą aferą jak syntetyczna żywność. Teraz król nie wierzył już nikomu.

Ogarnięty godnym pochwałą zamiarem zobaczenia wszystkiego własnymi oczyma, król wzbil się w powietrze pragnąc obejrzeć stolicę z powietrza. Stare skrzydła skrzypiały, ale jeszcze zupełnie nieźle utrzymywały właściciela.

Smokról Ósmy zdziwił się nieco, widząc, że niebo nad stolicą jest zupełnie puste, podczas gdy dawniej bez przerwy snuły się po nim stada smoków. Obecnie nie było widać ani jednego....

Smokról szybował nad miastem. Przed jego wzrokiem rozpościerał się żaloszny widok. Po zapuszczonych, zasypanych śmieciami ulicach gdzieś ledwo wlokły się wyczerpane smoczyce. Szperały po śmietnikach stolicy w poszukiwaniu jakiegokolwiek jadalnego kęsa. Chylące się ku upadkowi domy ziały jamami wybitych okien. Przedmieścia zupełnie opustoszały. Nie słychać było dawnych zadziornych pieśni młodych smoków i smoczyce. Patrole "Anielskich zastępów" dosłownie chwiałały się na nogach od najmniejszego podmuchu wiatru. Na skrzyżowaniu siedział doskonale wszystkim znany miejski wariat Smogłup i zadziwieniem mówił do dwóch dam:

- Po co płakać, po co się martwić? Jakiż jest cel smoczego ludu, niemądre? Wielki Wódz wyjaśnił: "Naszym celem anielizm!" Czemu więc jesteście niezadowolone? Nie pojmuję was i śmiech mi gdy na was patrzę, paniusie. Chłód? Głód? I słusznie! Wyciągniecie łapy i od razu, bez kłopotów, zostaniecie anielicami! Coo łaskaaa...

Niezwykle smutny widok ujrzał w swojej stolicy Smokról Ósmy. Zupełnie jakby łuski spadły mu z oczu. Ciężko opadł na dach swojego pałacu, wysapał się, uspokoił łomocące serce i postanowił: "Dosyć! Koniec! Wszystko jasne - popełniono błąd. Idea jako taka była dobra, ale do wprowadzenia jej w życie naród nasz, należy z bólem stwierdzić, jeszcze nie dorósł. Trzeba będzie trochę odczekać, bo w przeciwnym razie istotnie cały naród szlag trafi. Zawiedli mnie niegodziwi, niegodni zaufania dworzanie, którzy udawali moich towarzyszy broni. Pochlebcy i kłamcy! Trzeba wszystko naprawić".

Dla smoków to normalka. Rozkazano naprawiać - będzie wykonane. Praca wre...

Smokról Ósmy zaś postanowił pewnego razu powygrzewać się na ulubionym, południowym skłonie Smoczey Grani. Leżał sobie i patrzył w dolinę rozmyślając o dalszych losach tak osłabionego smoczego rodu. Zainteresował się jednak, widząc jakiś ruch w zaroślach. Gałęzie krzewów rozchyliły się i na polankę wyszedł Człowiek.

Wysoki, zgrabny, brązowy od opalenizny, był bardzo piękny. Smokról Ósmy, chcąc nie chcąc, zapatrzył się na niego z zachwytem. Władca smoków, jak zapewne zdołaliście państwo zauważyć, w ogóle zbyt łatwo ulegał emocjom. Z zartem przyglądał się mężnej twarzy Człowieka, jego długim włosom przepasanym skrawkiem kory, wąskiej talii, biodrowej przepasce z łyka. Na szyi Człowieka wisiał naszyjnik z kłów dzika.

Nad głową Człowieka zakołysała się korona drzewa j z gęstych liści rzuciła się w dół ruda błyskawica. Człowiek zdążył odwrócić się, wyszarpnąć nóż i odeprzeć atak jaguara. Jedną ręką chwycił drapieznika za gardło, drugą zaś wbił nóż w jego maleńkie, przepojone nienawiścią serce. Po sekundzie wszystko było skończone. Myśliwy wycierał ostrze, u jego stóp zaś leżał martwy cętkowany zwierz. Człowiek zdarł z niego piękne futro, zarzucił je niedbale na plecy i zniknął w leśnej gęstwinie.

Smokról Ósmy był zachwycony.

- Taki maleńki, słaby! Ani pazurów, ani kłów! Ale jakże odważny i piękny! Jakże szybkie są jego nogi, jakże zręczne ręce, jakże subtelny umysł! I chwała Bogu, nie żywi się samymi tylko kwiatkami... oto prawdziwie doskonały twór Pana! Zrozumiałem... I jakże mi to wcześniej nie przyszło do głowy! Nie aniołów należało czynić z moich smoków, ale ludzi. Do nich należy przyszłość!

Smoki, jak państwu doskonale wiadomo, wymarły.

Przełożył Sławomir Kędziński